

LUDWIK AŠKENAZY

OKO

Nie była to wielka katastrofa samochodowa, ale pewna signora straciła w niej swoje jasnoliebieskie oko. Oplakała jedno oko drugim i dała ogłoszenie do Messagera:

„Kupię oko w dobrym stanie, jasnoliebieskie, z odcieniem zielonkawym. Uwaga: Pilnie, cena nie gra roli, oferty do administracji”.

Madonna miała, ileż napłynęło zgłoszeń! Nareszcie znalazł się żądany odcień. Operacja również przebiegła pomyślnie.

Nowe oko rzucało blask i iszawilo. Mogło patrzeć smutnie, ufnie, z figlarnym ognikiem, umiało zaszklić się szczęściem, ronić łzy radosne upojenia. Miało jedną tylko usterkę: skazę, plamkę, kropkę, schowaną pod źrenicą. Przypominała okruszynę chleba.

DŁOŃ

Ludzka dłoń to mapa, wojskowa mapa pełna tajemniczych znaków, tu biegnie autostrada i ginie w polu zniecka, nazywają ją linią życia. Zgoda, niech tak będzie. A oto rzeka podziemna, nikt nie i znowu wypływa, a tam gościniec odwiedzany z rzadka, toczą się po nim karety, dyliżanse i landa naszych dziecięcych ksiątek.

Tu miedza, tu bruzda, a tam ścieżyna łakowa, człowiek na dłoń popatrzy i widzi, jak po nich stąpa mały i bosy, z rozbitym kolanem.

Teraz rozdroża, których nigdy nie brak na opalonej młodej skórze.

Tu lasu skraj, tu szczyt, tu kapliczka, tu most, tam tunel, ówdzie ślepy tor, i znow rozdroże...

Nie trzeba być generałem, żeby umieć z tej mapy czytać. To potrafi każdy szeregowiec.

Powie: Dokąd mnie, mapo zaprowadziłaś? Powie: Czy byłem, mapo, w taktyce dość biegły? Pracowałem, powie, spójrzcie na moje ręce. Oto mapa moich dróg.

Nie wszystko zdołałem doścignąć.

Z czeskiego przełożył Jerzy Pleśniarowicz

PEWNEGO DNIA sąsiedzi zrzucili maskę obojętności. Dostyc. Rozpaczliwe krzyki dziecka wzięły górę nad obawami o nieproszone interwencje i krytykę wychowawczych metod. Nie ich sprawy, nie ich krewniak. Budzi jednak litość, choć cudzy. Powiadomiono szkołę, milicję, później sąd. 11-letni chłopiec rozebrał się przed szkolnym lekarzem. Jeden, dwa, trzy... ile tego? Strach spojrzeć. 150 sinych, obolałych miejsc na ciele dziecka. W kilka dni po skatowaniu. Filmowe 400 batów wyszło ze sfery literackiej imaginacji. Zamieniły się w fakt. Nie po raz pierwszy w tym domu. Dlaczego? Za co?

RÓDZICE

Są rozwiedzeni. Mieszkają pod wspólnym dachem. Była żona, której sąd przydzielił obydwoje dzieci, zajmuje pokój z kuchnią. Był mąż — pokój. Córeczka chowa się na wsi u babci. Synek przy matce w Rzeszowie. Matka pracuje. Ojciec również.

Odeszli od siebie. Życiowe pomysły są do naprawienia. Lepiej odgrodzić się rozłąką niż żyć w dusznej, gryzącej atmosferze nienawiści i pogardy. Rodzinne szczęście wykwiła w odmiennym klimacie. Ale naprawy nie dokończono. Byli małżonkowie zostali pod wspólnym dachem, w obrębie dwupokojowego mieszkania.

Wspólny dach — nowy „pozarodziny” dramat. Bo niby ludzie nie są sobie obcy. Znali się kiedyś, ochali, żyli ze sobą. Wyrok sądowy nie usunie z pamięci rzeczy złych i dobrych, jakie się zdarzyły w przeszłości. Czają się one na dnie serca, tak jak żale, pretensje i przytłumione chęci odwetu. Dwójce ludzi wybrało rozbieżne drogi, ale codziennie spotykają się, oglądają i słyszą nawzajem. To wzbudza odrazę, targa pamięcią, potęguje zazdrość. Dwójce ludzi patrzy teraz na siebie z tym większą wrogością. Nie ma chyba cięższej kary dla wielu rozwiedzionych małżonków nad przymusową bliskość, nad częste oglądanie postaci przez siebie znieawidzonej. To tak jakby kazano komuś zjeść to, co już raz odrzucił. Alimenty i trudy wychowania „spadkowego” potomka są wymierne — a więc lżejsze. Stają się w końcu regułą życia, obowiązkiem jak odżywianie czy sen. W odniesieniu do rzeszowskiego konkretnie stwierdzenia pasują do sytuacji. Ojciec płaci regularnie na utrzymanie dzieci. Matka stara się nie zaniedbywać w wychowawczych powinnościach od strony ubioru i potrzeb żołądka. Kością niezgody są konsekwencje, wyniki z lokalowego status quo rozdartej rodziny.

Żaden werdykt nie zabroni ojcu kontaktów z synem. Nawet „prawnie odebrany”. Ojciec spotyka go

więc często. Wspólne mieszkanie stwarza ku temu okoliczności. Wywołuje to sprzeciw matki. Odseparowani małżonkowie nie są w stanie uzgodnić między sobą linii dydaktycznej w stosunku do dziecka. Za dużo ich dzieł.

DZIECKO...

„stanowi w tym rozwiedzionym małżeństwie jeśli nie balast, jak najczęściej bywa, to na pewno czynnik wzajemnego „odgrywania” się rodziców. Starsi nie za-

J. SKOWRONEK

150 BATÓW

twili do końca między sobą porachunków. Brakuje do tego oficjalnej platformy. Drzwi do sali rozpraw w sądzie już się zamknęły. Ponowne otwarcie, jeśli dojdzie do niego, zajmie się raczej sprawą dziecka i metod wychowawczych rodziców. Na razie więc potomek musi spać nlewyczerpany zapas albo raczej resztki płonunu byłej rodziny. Smutne.

Ojciec „ukradkiem” rozpieszcza synka, przeciwstawia matce, obwinia ją i oczernia. Pozyskanie malucha i jego uczucie nie kosztuje wiele... krytyka matki i od czasu do czasu trochę pieniędzy. Chłopak w tym wieku lubi zachłysnąć się wolnością. Za drobne kieszonkowe kupuje papierosy. Przyłapano go na paleniu w szkole. Innym razem skazował alkoholu.

Metoda ojca na pewno jest atrakcyjniejsza. Matka bowiem ogranicza swobodę, każe żyć po spartańsku, ruguje wpływy ojca i tak samo jak on o matkę, tak matka o nim nie ma dobrego zdania. W złości i zdenerwowaniu zapomina się zbyt często i za głęboko. Chłopak zbiera bity, całą ich lawinę. Za grube przewinięcia, za błahostki. Nie wolno mu wchodzić do pokoju. Nie wolno spotykać się z ojcem. Nie wolno, nie wolno. W przeciwnym razie bity i razy.

Co się dzieje w młodej, wrażliwej, delikatnej i nieufornowanej jeszcze psychice dziecka? Tego rodzice nie chcą dostrzec. Wlewają tylko do jego serca nienawiść. Maluch nie umie zdobyć się na własny sąd. A rodzice tylko mącą i przeciwstawiają. Nie kochaj matki, bo ona...

odpędzaj od siebie ojca, bo on... Zamiast kropek — oskarżenia i słowa.

Co z chłopca wyrośnie? Jest jeszcze czas na takie pytanie. W każdym bądź razie nie jest za późno. Malec nie został jeszcze kaleką, ani nie wyrósł na tyle, by samemu podnieść rękę. Jest czas, dopóki dziecko ciepłi, ciepłi jego życie upływa w rozterce wewnętrznej, pod znakiem 150 batów.

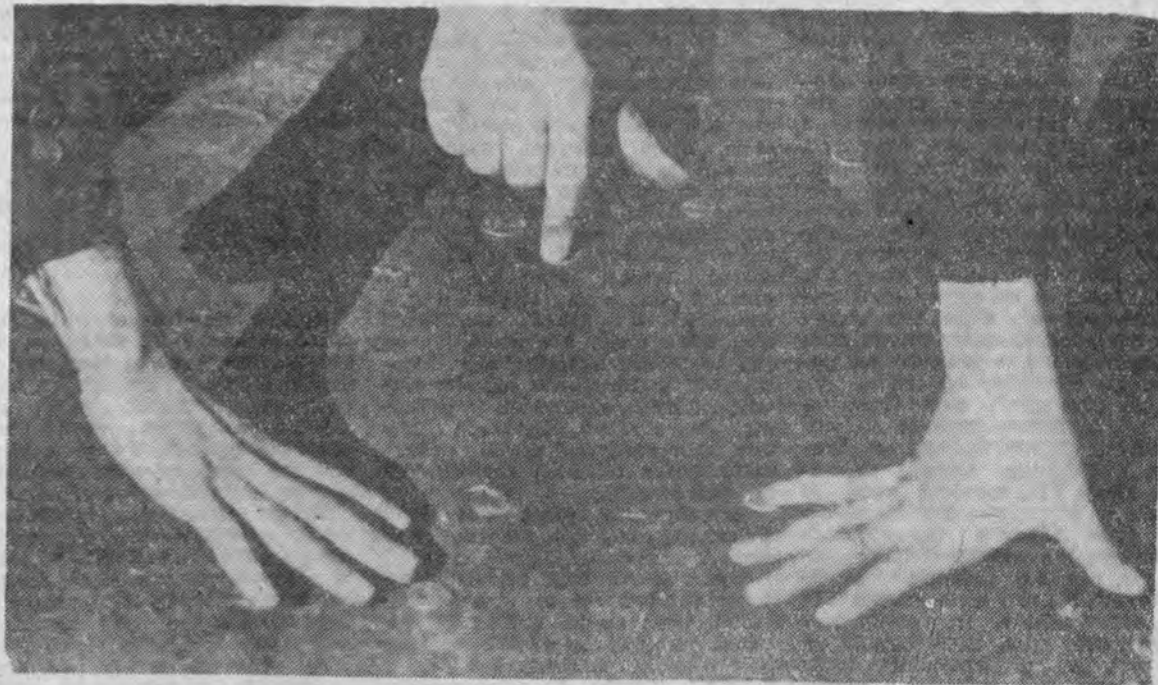
Sąd i odebranie dziecka prawowitej matce to ostateczność. Przydzielenie go ojcu to chyba jeszcze gorsze wyjście. Zresztą ojciec, mimo zewnętrznych oznak radości z ewentualnego odzyskania syna nie bardzo się kwapi do takiego rozwiązania. Na pierwszą rozprawę w sądzie w ogóle nie przyszedł. Więc co? Może nadzór wychowawczy? A dó tego koniecznie jeszcze odpowiedź na pytanie: „na jakich rodziców myśmy wyrośli?”

WINY STARSZYCH

Dwoje ludzi odeszło od siebie. Przyjęło obowiązki, wynikające z wydana na świat dzieci. Są jeszcze młodzi, mogą liczyć na założenie nowych rodzin. Byłoby lepiej, żeby zamieszkali osobno. Z wielu względów, chociażby opisanych wyżej. W samym Rzeszowie jest kilkadziesiąt rozwiedzionych małżeństw zmuszonych mieszkać razem. Prawie każdy przypadek — to tragedia. Milicja, sądy, władze szkolne i administracja załamują ręce. Klótnie, pobięcia, skargi, powtarzają się regularnie. Interwencje wnoszą chwilowy i pozorny spokój. W rodzinach, a raczej w byłych rodzinach, obarczonych dziećmi tę przejawy potęgują się i bardziej gmatwają. Dzieci albo są nieulubiane, krzywdzone i poniżane, albo wykorzystywane do rozrachunków przeszłości lub teraźniejszości pomiędzy ich rodzicami. Górzkie mają dzieciństwo, zatrute od wczesnych lat serca, wykoszlawione uczuciami, zdeformowany punkt widzenia na ich mały świat i na „wielki” świat rodziców.

Wydawałoby się, że z przekwaterowaniem i rozdzieleniem lokatorów nie powinno być kłopotów. Istnieje większe zapotrzebowanie na rodzinne mieszkania niż na kawalerki lub pokój z kuchnią. Do rzadkości jednak należą fakty zamiany mieszkań. Wiadomo. Trudności lokalowe, a niekiedy brak dobrej woli.

Na co więc w takim razie należałoby liczyć? Na takt, osobistą kulturę i wyrozumiałość byłych współmałżonków. Tego właśnie najbardziej brakuje. Za często ludzie, którzy od siebie odeszli nie wybacząją sobie prawie niczego, nie traktują się z godnością. Dziwna zawziętość, dokuczliwość i zacietrzewienie. Czy naprawdę tacy już musimy być? Dlaczego 400 batów spada wyłącznie na plecy dzieci? Winy starszych są przecież większe.



FOT. T. RADECKI

PETRO WERSZYHORA



JESZCZE PÓL ROKU temu był wśród nas. Przybył poprzedzony swoimi książkami, które czytały tysiące ludzi, poprzedzony sławą partyzancką, opowieściami, jakie w długie wieczory snuli i snują do dziś o nim i jego chłopach mieszkający wsi z północno-wschodniej części naszego województwa.

Nie przypuszczał zapewne młody czerwonarmista Petro Werszyhora, syn wiejskiego nauczyciela z Mołdawii, kiedy w 1926 roku rozpoczął studia w konserwatorium odeskim czy w kilka lat później pracę w kijowskiej wytwórni filmowej, że sądziła mu jest inna rola, woda legendarnych partyzantów, opiewanego przez lud. Wojna, która w 1941 roku wdarła się w jego życie, zmieniła je zupełnie, nadała całkiem inny kierunek.

Po blisko rocznym pobycie na froncie wiosną 1942 roku Werszyhora ląduje ze spadochronem na zaplecze wroga. Prowadzi akcje wywiadowe, naprowadza samoloty radzieckie na skupiska hitlerowskich transportów, a następnie walczy w słynnym oddziale partyzanckim Sydora Kowpaka, jako zastępca dowódcy do spraw zwiadu. W 1944 roku dowodzi oddziałem partyzantów działającym na Ukrainie, Białorusi, a także na terenach Polski. Wówczas właśnie oddział ten, przemianowany później na I Ukraińską Dywizję Partyzancką, walczył w rejonie Cieszanowa, Rudy Różanieckiej, Majdanu Sieniawskiego, Kuryłówki, Ulanowa, Krzeszowa i Stalowej Woli napalniając przerażeniem serca niemieckich żandarmów, hitlerowskich dygnitarzy i ich sługusów, a podnosząc na duchu ludność polską na tamtych terenach. W trakcie walk ludność ta udzieliła partyzantom Werszyhory wiele pomocy, miejscowe zaś oddziały polskie inicjowały i przeprowadzały z nimi wspólne akcje zbrojne przeciwko okupantom.

Po wojnie Bohater Związku Radzieckiego gen. Petro Werszyhora poświęcił się pracy pisarskiej. Jego wspomnienia z walk partyzanckich cieszyły się wielkim powodzeniem u czytelników radzieckich i polskich. Takie książki, jak „Ludzie o czystym su-

mieniu”, „Karpacki rajd” czy „Operacja San — Wisła” — szybko trafiły do rąk tysięcy ludzi.

Twórczość Werszyhory zyskiwała sobie uznanie czytelników swoim autentyzmem i bezpośredniością narracji. Autor starał się oddać lata wojny, przeżycia ludzi uczestniczących w bojach partyzanckich jak najwierniej, bez upiększeń i koloryzowania i to właśnie sprawiło, że w bogatej literaturze tego gatunku jego książki należały do najbardziej poczytnych i interesujących.

— Podstawą partyzanckich sukcesów jest szybkość działania i ruchliwość, a przede wszystkim związek z ludem — powiedział w pewnej chwili gen. Werszyhora, gdyśmy przejeżdżali jesienią ub. roku z Brusna do Rudy Różanieckiej. Zasadzie tej był wierny przez całe życie. Po 18 latach od czasu pobytu na naszej ziemi przyjechał do nas uzbrojony w notes wypełniony nazwiskami ludzi, z którymi los go kiedyś zetknął. Tego notesu mogło zresztą nie być. Pamiętał ich doskonale i podczas spotkań rozpoznawał nieomylnie. Potrafił szczegółowo opisać spędzone z nimi podczas wojny chwile i wielokrotnie przypominał nawet momenty, o których tamci zapomnieli. A iluż takich ludzi spotkał podczas tysiąckilometrych partyzanckich rajdów?

Kochał ich.

Kochał ich za to, że pomagali jego chłopcom, że przyjmowali go pod swym dachem, dzieliли się ubogim, okupacyjnym chlebem. Widziałem jego wzruszenie na spotkaniach, maskowane dobrodusznym, jowialnym uśmiechem, widziałem, jak ocalerał przy rozczuleniu i uciekał do samochodu, nie chcąc, by ktoś to zauważył.

Rozpytywał ludzi, jak im się powodzi, interesował się ich stanem zdrowia, w poszczególnych wypadkach zwracał się do przedstawicieli władz wojewódzkich z prośbą o zajęcie się byłymi partyzantami, współtowarzyszami i broni partyzantów radzieckich, o udzielenie im pomocy, a nawet o przedstawienie do odznaczeń za wspólne walki przeciw Niemcom.

Ciągnęło go do tych prostych wiejskich ludzi. Uciekał, wymawiał się od oficjalnych przyjęć i spotkań — byle tylko więcej czasu spędzić ze starymi znajomymi, porozmawiać, popatrzeć jeszcze raz na ich twarze.

I ludzie odpłacali mu podobną serdecznością. Wszędzie biegli tłumnie na jego spotkanie, witali z radością, rozpoznając w nim owego „Kowpaka” jak go nazywali w czasie wojny (dywizja partyzancka Werszyhory nosiła imię Sydora Kowpaka i dlatego chłopcy widząc w Werszyhorze dowódcę, sądzili, że to Kowpak), nie chcieli się z nim rozstać i zapraszali ponownie.

Gen. Petro Werszyhora przyjechał do nas dla zebrania materiałów do swojej kolejnej książki, która miała być kontynuacją „Operacji San — Wisła”. Chciał w niej napisać o walkach stoczonych na terenie Polski, o przyjaźni i braterstwie, jakie narodziło się wówczas między jego partyzantami i naszym społeczeństwem. Dopytywał się o te książki mieszkający wsi, które odwiedził, mówili, że oczekują jej z niecierpliwością.

Jeszcze przed miesiącem przyszedł do Referatu Historii Partii w Rzeszowie jego listy i książki. Pisał w nich o swojej pracy, dopytywał o pewne szczegóły, widać było, że jest pochłonięty swoim dziełem. I nagle krótko, bolesna wieść. Umarł.

Tracimy w nim nie tylko nieustraszonego bojownika z faszystami, któremu wiele zawdzięczamy. I nie tylko pisarza. Tracimy serdecznego przyjaciela Polski i Polaków, przyjaciela prostych, pracowitych ludzi znanu Sanu i Tanwi, dla których tyle dobrego ognió uczynił.

W. Sz.

PRZED WYJAZDEM uprzedzono mnie, że Kielce to miasto bez wdzięku. W rozmowie tej używano określeń łagodnych, bo czyż można źle mówić o sąsiedzie, z którym się współpracuje i przyjaźni?

We wczesnowiosennej szacie żądemu miastu nie do twarzy. Wówczas jaskrawe słońce bezlitośnie odsłania wszystkie mankamenty urody. Właśnie w taki nieprzychylny dla prezentacji słoneczny poranek powiedziałam Kielcom dzień dobry!

I tu zaraz przyznać muszę: to miasto z miejsca zdobyło moją sympatię. To prawda, że Kielce mają głównie ulicę Sienkiewicza podobnie jak ulica Piotrkowska jest synonimem Łodzi. Ale Kielce to także piękna dzielnica byłych pałaców

cy Sienkiewicza. Sklep — jak wszystkie „Cepelie” — prowadzi towary regionalne z całego kraju, ale sprzedaje także te, tak licznie noszone zapaski. Sztuka: 280 zł!

Cel mojej kieleckiej „wyprawy” był jednak ściśle określony. (Dla turystyki wykradłam tylko kilka godzin!). Pojechałam na kieleckorzszowskie wykonanie IX Symfonii Ludwika van Beethovena. Koncert był przykładem współpracy artystycznej orkiestr symfonicznych dwóch zaprzyjaźnionych placówek kulturalnych. To nie był wymienny, lecz wspólny koncert. Chór rzeszowskiej POS, orkiestra kielecka i soliści wykonali pod batutą Janusza Ambrosa ostatnią symfonię van Beethovena w 136. rocznicę zgonu kompozytora. Program koncertu podkreśla, że kronika kulturalna Kielce datę wykonania IX Symfonii

Jeleń tylko w herbie

biskupich (jeden z nich jest siedzibą Prez. WRN), ślicznego parku, obok którego rośnie kolorowe osiedle mieszkaniowe z wieżowcami o lekkiej, na wskroś nowoczesnej architekturze.

Kielce są szare, a zarazem ogromnie barwne. Barwne są sklepy z elegancjami wystawami — godnymi nie tylko metropolii województwa — i zaskakującym wyborem towarów. A ilość np. nowalijek? Ogromna! Od szczyptorku w doniczkach przez cebulkę w wiążkach do pięknej botwinki. W dekoracjach nie ma krzykliwości, cechuje ją estetyka i celowość. Odczuwa się, że współpraca handlu z plastykami układa się pomyślnie. A problem „jelenia na rykowisku” ogranicza się wyłącznie do paradowania, tego skądinąd bardzo miłego zwierzaka — wyłącznie w herbie Kielecczyzny. Herb chętnie jest pokazywany, gdzie tylko się da. M. in. przy sztydzie reprezentacyjnej restauracji zwanej „Świętokrzyską” można zobaczyć neonowe jelenki. Gwoli ścisłości muszę dodać, że herb stolicy województwa — to korona a pod nią litera: c.k., które podobno z jego cesarsko-królewską mocą nie wspólne nie mają.

Kielce są szare, zarazem barwne tłumem. To jedyne bodajże miasto wojewódzkie w Polsce, w którym nie od święta, lecz na co dzień (był to ostatni piątek marca) widuje się kobiety w ludowych zapaskach. Twarzone pelerynki dość długie, bo sięgające niżej pasa, noszą nawet młode, 20-letnie kobiety nie mówiąc już o starszych. Na pewno nie są to mieszkanki śródmieścia, ale wiele z nich żyje w samych Kielcach. Dzień targowy spowodował, że nagromadzenie tak wielkiej liczby, iż nie na dziesiątki, lecz setki, a nawet na tysiące można było ich naliczyć. Kieleckie samodzielną przypominają trochę pasy łowicze. Są jednak utrzymane w bardziej stonowanych kolorach. Dominuje fiolet, brąz, czarny i wiśniowy.

Jak już o ludowości to jeszcze kilka słów o sklepie CPLA, który się mieści — wiadomo — przy uli-

odnotuje jako datę historyczną. Bezsprzecznie jest to egzamin dojrzałości dla zespołów symfonicznych i chóralskich.

Koncert przyjęli kieleczanie gorąco. Były wiązanki i kosze kwiatów. Wiele oklasków, wprost owacja.

— Jak się spisał nasz chór? — Wyszedł obronną ręką. Brak kilku-nastu chórzystów w pewnym stopniu musiał zaważyć na brzmieniu całości. Jednak świetna akustyka sali przyczyniła się do potężnego brzmienia Finale. Zmęczenie (próba plus dwa koncerty), trema — zawsze to gościnny występ! — na wieczornym koncercie dały znać o sobie. Wytrawna batuta Janusza Ambrosa raz jeszcze udowodniła swą klasę.

Wierzę, że ten koncert zapoczątkuje następne wspólne kieleckorzszowskie występy.

Kielce nam zazdroszą chór, rzeszowscy muzycy do chwili zbudowania gmachu Polihymnii w Rzeszowie, zazdrośnym okiem będą typali na dom POS sąsiadów. A jest na co popatrzeć. Sala na ponad 450 osób z świetną akustyką i przestronną sceną. Przyjemny foyer, dwie szatnie, które szybko obsługują melomanów i pozwalają na punktualne rozpoczęcie koncertu, eliminują znane nam rzeszowianom siedzenie na sali w paltach. Jest też specjalne pomieszczenie dla palaczy. Biura dyrekcji nie są reprezentacyjne, ale kielecka POS ma otrzymać przyległy do niej hotelik. Wówczas będzie można urządzić i salę prób dla muzyków, solistów, i godne miejsce dla kierownictwa tak ważnej placówki kulturalnej.

Późną nocą Kielce żegnały rzeszowskich muzyków jasnym światłem neonów i jarzeniówek. W mojej pamięci zostały jednak ulice Kielce pełne wiosennych bazi, słoneca i kokieterijnie błyskające w miejskim tłumie barwne ludowe zapaski.

MARIA C. GUZIOLEK

KIM ZOSTAĆ?

Wraz z nastaniem wiosny zaczynają do redakcji napływać listy od młodzieży kończącej szkoły podstawowe: poradź nam redakcjo — piszą — co mamy robić?, gdzie kontynuować naukę? Pytań jest sporo. Pisze do nas przeważnie młodzież wiejska, bardzo często absolwenci z lat ubiegłych, którzy z różnych przyczyn nie rozpoczęli jeszcze nauki w szkołach średnich.

Na większość pytań powinni odpowiedzieć młodzieży nauczyciele, których zadaniem m. in. jest niesienie jej pomocy w wyborze zawodu. „Jestem uczennicą klasy VII w K. Podajcie mi adresy szkół gastronomicznych”. Chce ona otrzymać dokładną charakterystykę szkoły; domaga się odpowiedzi na pytanie czy egzaminy są trudne (?), czy po ukończeniu nauki otrzyma pracę i ile będzie zarabiać (!), czy będzie „pracownikiem umysłowym”. Chłopiec znów, też uczeń klasy VII, oznajmił nam, że będzie w przyszłości lotnikiem, nie zna tylko adresów odpowiednich szkół oraz ma wątpliwość czy „pilot nie jest aby pracownikiem fizycznym”. Na te i wiele innych pytań odpowiadamy, ale trudno jest przewidzieć, jakie będą zarobki za lat pięć. A czy dziennikarz może autorytatywnie wskazać zawód chłopcu, o którym — (z listu pi-

sanego z błędami ortograficznymi), że ma lat 14, że chce się uczyć; „wskaz mi Redakcjo — proszę — odpowiednią szkołę”.

„Może redakcja wie — pisze 15-letni chłopiec — o jakiejś szkole uczącej na murarzy, ale takiej, w której nie płaćlibym za internat, ale żeby mnie jeszcze płaćli”. Owszem, drogi chłopcze, wiemy. W Rzeszowie, w Jarosławiu i Brzozowie są szkoły rzemiosł budowlanych kształcące murarzy, betoniarzy-zbrojarzy, monterów instalacji, cieśli i malarzy. Każda z nich posiada internat; uczniowie mogą również otrzymać stypendium w wysokości do 360 zł. Absolwenci tych szkół mogą kontynuować naukę w 3-letnich technikumach budowlanych w Rzeszowie lub Jarosławiu, których ukończenie upoważnia do studiów wyższych. Można także zdobywać zawód w przyzakładowych szkołach zawodowych dla pracujących.

Otrzymywane przez nas listy wzbudzają niepokój; nie wszyscy jeszcze nauczyciele, kierownicy szkół i wychowawcy klas siódmych pomagają młodzieży w wyborze zawodu. Oni przede wszystkim powinni informować swoich uczniów o możliwości dalszego kształcenia. Z listów wynika, że rzeczowej informacji pozbawiona jest, jak

już wspominałem, młodzież wiejska. To powoduje, że niekiedy rozpoczyna ona naukę w szkole, która nie jest dla niej odpowiednia; stąd późniejsze rozczarowania itp. Informowanie uczniów ułatwi niewątpliwie wydany drukiem przed kilku dniami przez Poradnię Psychologiczną KOS „Informator szkolnictwa zawodowego na rok szkolny 1963/64”, który znajdzie się niebawem w każdej szkole podstawowej.

Lotnik, kucharz, betoniarz...

Nikt w zasadzie nie zajmuje się absolwentami z lat ubiegłych, którzy obecnie pragną rozpocząć naukę w szkołach średnich, a mają poważne trudności przy egzaminach wstępnych, wynikające z przerwy w nauce. Uwagi te kieruję również pod adresem wydziałów oświaty prezydium rad narodowych. Dalsze kształcenie absolwentów szkół podstawowych jest problemem niezwykle ważnym. W 1962 r. w różnych typach szkół średnich rozpoczęło naukę 83,8 proc. siódmoklasistów, a do egzaminów wstępnych przystąpiło około 95 proc. Obecnie szkoły podstawowe ukończy 31.500 uczniów, o przeszło 2 tys. więcej aniżeli w roku ubieg-

łym. Chcemy — powiedział mi wicekurator mgr Stanisław Grabowski — utrzymać ubiegłoroczny wskaźnik przyjęć do szkół średnich, mimo że według planu dopiero w 1965 roku mieliśmy objąć dalszą nauką 80 proc. absolwentów szkół podstawowych. Kuratorium Okręgu Szkolnego planuje więc otwarcie nowych oddziałów oraz szkół, gdyż istniejące są już dostatecznie przepełnione. Powstaną za-

koty, gdyż w ruderze tej patroszy się padłe bydło... Czyste kpiny!

Nowo powstałe szkoły wymagają specjalnie troskliwej opieki, aby mogły się stać pełnowartościowymi placówkami oświatowymi. Nie mogą to być szkoły sezonowe.

Niewątpliwie potrzebni są ślusarze, mechanizatorzy rolnictwa, kucharze itp., ale rozwijający się przemysł wymaga wysoko kwalifikowanych specjalistów m. in. w zakresie elektroniki. Uczą jej w Technikum Mechaniczno-Elektrycznym w Rzeszowie (elektronika przemysłowa) i w Zasadniczej Szkole Zawodowej w Rzeszowie (monter elektroniki). Kierunek ten należy wprowadzać i w innych szkołach, ale występują poważne trudności z praktyczną nauką zawodu.

Palącym problemem wreszcie jest wyciągnięcie wniosków z dokonanej konfrontacji ówczesnego profilu szkolnictwa zawodowego z potrzebami gospodarki narodowej. Wystarczy chociażby wskazać, że absolwenci niektórych szkół napotykały trudności w uzyskaniu pracy. Wydziały zatrudnienia np. proponują likwidację części szkół o dziejących, oponenci zaś twierdzą, że wprawdzie nie wszystkie dziedziny pracują zawodowo po ukończeniu nauki, ale opłaca się inwestować w kształcenie „dobrych gospodyń i żon”. Imi znów uważają, że jeśli w jednej miejscowości

ZAFASCYNOWANIE

Znane z dobrego reportażu „Iskry” i tym razem zdobyły notę na plus: obok niezmiernie interesującego „Wypadku na zakręcie” Edwarda Hołdy i „Portretu znajomego” Andrzeja Szczypiorskiego — że nie zajął miejsca w tym numerze, godnych osobnego omówienia tytułów — książka Remigiusza Napiórkowskiego* stoi w rzędzie najlepszych edycji reportaży ostatnich dwóch lat i zainteresuje czytelnika.

Bo „Poszukiwanie sprawiedliwych” nie jest książką, której lektura może być sprawą obojętności czytającego, to pewnie; można zarzucić Napiórkowskiemu literacką egzagerację, szarżowanie czy choćby subiektywizm, ale nie sposób nie podać się zafascynowaniu autora sprawami najzupełniej powszednimi i jego sugestiom. „Poszukiwanie sprawiedliwych” jest natomiast książką, w której fakt i zdarzenie, wyodrębnione ze strumienia codzienności bystrą obserwacją i sprawnym prowadzeniem narracji, stają się pretekstem do ukazywania postaw moralnych i filozoficznych, do określania motywów ludzkiej działalności. Czyli: autor nie szuka ważnych w sensie ogólnoludzkim rozwiązań i odpowiedzi w mistyfikatorskich pokładach fikcji, a mimo to jego tekst, zrodzony przecież z dziennikarstwa, całkowicie przynależy literaturze. Na kartach tego tomu sprawdza się, że o nobilitacji literackiej reportażu stanowi dziś nie tyle nieobecność tematyki dnia powszedniego w tzw. czystej literaturze, w owym zwielokrotnionym literackim kłamstwie, co operowanie najbogatszymi z czynników rzeczywistości ludzkiej (psychologicznymi, intelektualnymi, itd.), potwierdzonymi przez nieustającą praktykę codzienności.

Tu musimy zaznaczyć, że w tej codzienności Napiórkowski porusza się często na zasadzie własnej, zdumiewająco niezawodnej intuicji; w książce uderza szczególnie trafność osądów i wiarygodność spostrzeżeń. Wszystko tu codzienne, znane, powszednie, sylwetki bohaterów także. Społeczniczy i zbroczni na tle własności chłopci, dzerzeni z prawem lekarze, urzędnicy i dobrodziejcy, tragiczni głupcy, niewinni hulajcy, cyniczne dziewczki, zdegenerowane hrabiny, konsekwentni maniacy, pokrzywdzeni i brutalni. Między nich wkracza Napiórkowski niejako ewangelicznie, a więc tak, jak się nawiedza chorego; to pierwsze wrażenie. Wszakże jest to tylko pozor. W rzeczywistości bowiem N. nie występuje w roli niosącego ulgę samarytana. On po prostu wkracza w zakamarki codzienności. Raz wydaje się być słabo przystosowanym, to znowu udaje zdziwionego, niemniej zawsze zachowuje się silny, emocjonalny kontakt z otoczeniem. Czasem jest to coś jak rozgrywka naiwności i pozorów. Owszem, byłaby ona ze wszech miar irytująca, gdyby się zaraz nie okazywało, że jest to tylko sposób patrzenia wkraczającego, patrzenia z niepełną zewnętrzną pozycją. To właśnie pozwala Na-

piórkowskiemu posługiwać się własnym kodeksem moralnym i wymierzać sprawiedliwość. Intuicja ma tu niebagatelną funkcję, intelektualny akt poznania, może nie zawsze poprzedzony szeroką analizą logiczną, uwarunkowany jest doświadczeniem i oto zaraz pada podana sprytnie, zdarza się, że wręcz napaściwa odpowiedź na pytanie: jak? dlaczego?

N. mówi do czytelnika poprzez świadomą deformację obrazu. Nonszalancki i pewny siebie, ale zawsze liczący się z czytelnikiem, kładzie słowo na granicy skrajności i kontrastów, deformacja zaś spełnia tu rolę przekazu, informuje sugestywnie, jak bogaty i wieloznaczny może być z wykły fakt, nie dostrzegany okiem tłumy. Pod piórem Napiórkowskiego to sprawdzalne tworzywo niesie element plastyki, formuje się przez użycie skrótów, lapidarnego szychu, przemilczania, czemu towarzyszy dowcip, finezja i błyskotliwość w określeniu sytuacji i sylwetek bohaterów. Choćby np. ta, o której w tytułowym, świetnym reportażu napisał:

„A potem wypięta pierś w moim kierunku, żebym mógł sobie obejrzeć, jaki to biust ma ona, Stella, żona dyrektora szpitala, który teraz siedzi sobie spokojnie w celi i wdycha osobliwe zapachy. Żebym zobaczył i żeby mnie przeszły dreszcze. Ale nie przeszły jakos: nie chciały. Natomiast sięgnąłem jeszcze po naczynie z winiakiem i wychlapałem resztkę płynu do gardła, bo brało mnie na mdłości. Stella spojrzała zaniepokojona na zegarek, bo o tam w kinie siedzi obraz z niewątpliwym strzelaniem i cowboym-ateletą. Teraz zbliża się godzina dwudziesta termin obrazu, a ona miała dwa bilety: dla siebie i dla Michała Archaniola. Bo dla kogoż był innego, jeśli jej dobroczyńca i małżonek pokutował teraz w zimnej celi?”

Ludzie z „Poszukiwania sprawiedliwych”, pomimo różnorodności postaw i motywów działania nie są — jak to bywa tu i ówdzie — udrapowani bohatersko lub wbici w jeden przyciasny, wcześniej ustalowany uniform. Prezentując swoich bohaterów, sam N. mówi: „nie tak nie budzi podejrzeń, jak kryształczna, nieskalana cnota”, ale mówi to tak, że czytelnik musi utwierdzać się w tej znanej prawdzie. Czytelnik, sądzę, nie może zareagować inaczej. Autor przekonywa bowiem literackim dokumentem. Występuje w roli wiarygodnego świadka uczestniczącego w tym diabelnym rozbuchaniu codzienności. W jednej i tej samej kwestii wiecie bezlitosny tragizm z humanitarną łagodnością (np. w bieżącym reportażu „Umieranie”), wyrażanie z prostotą, pokazuje wspólne miejsce abstrakcji i przedmiotu, mit obala fragmentem osadzonym w rzeczywistości.

Używa N. różnych materiałów, w stylistyce jednak zachowuje jednorodność. Fascynuje i nastraja zgodnością obrazu z frazą.

„Nim wszedłem na ten płaszczysty pagór ogrodzony szbatym murem, adyżalem się i zmęczyłem. Spóźniłem się nieco: nad grobem Pauliny pełno było już żalobników. Stare, koślawe twarze jej rówieśniczek, gapie rozdzwiające usta, dużo dzieci z okrutnym zainteresowaniem na twarzy. Wszyscy patrzyli na dno dołu, jakby wstawał stamtąd dymiący ogień. General sprawdził trzydzieści laty albo nowy Piotrowi mający złoty światek. Nie tam jed-

nak mia być, tylko grudy suchlej gliny i podcięte korzenie drzew” („Przebaczenia nie było”).

Stworzył N. w swojej książce jakąś szczególną poetykę prostoty i zafascynowania.

„Poszukiwanie sprawiedliwych” jest naprawdę dobrą książką, książką chwytającą wiele nerwów współczesności. Jej lektura wskazała mi przy okazji na rodowód twórczości Napiórkowskiego, ściślej, na koligacje literackie, najmocniejsze chyba z Penn Warren'em („A więc najpierw było wielkie miasto, my w nim, a potem samochód ruszył przed siebie i ukazało się to wielkie, zielone morze...”), ale żaden to zarzut, w końcu każdy terminował u mistrza. Umiejętnością obserwacji, błyskotliwością opisu, dużym temperamentem, wreszcie zaangażowaniem w problematykę społeczną — daje Napiórkowski świadectwo swojego talentu pisarskiego (w roku ub. N. zdobył nagrodę w konkursie międzywydawniczym na powieść współczesną). Jakże dalekie, nieporównywalnie sugestywniejsze i prawdziwsze od niedobrych, nieodległych w czasie rodzimych wzorców literackich czy miastek, sfrancuziałej literatury jest to jego pisanie o rzeczywistości.

Nie bez przyczyny mówi się dzisiaj o szkole reportażu „Współczesności”, będącej już z pewnością zjawiskiem w naszym życiu literackim, z której wyrósł ten młody prozaik. Nie bez przyczyny też Wilhelm Mach określa reportaż jako najszlachetniejszą odmianę literackiego kłamstwa; można to określić w pełni dosłownie do twórczości Napiórkowskiego. Otrzymał miły żarliwy, sugestywny, trochę przewrotny i — cokolwiek zło powiędzieliśmy o niej — zawsze interesujący książkę.

Czytelnikowi „Widnokregu” polecam ją do czytania z tego dodatkowego względu, że przynosi kilka reportaży, których tematykę zaczerpnął Napiórkowski z życia Rzeczypospolitej.

* Remigiusz Napiórkowski, „Poszukiwanie sprawiedliwych”, wyd. I, „Iskry”, W-wa 1963, str. 156.

Z koncertów POS

Clou: XVII-wieczna opera „Eneasz i Dydona”

Piątkowym koncertem, który gościnnie prowadził dyrektor Filharmonii lubelskiej, dyrygent Andrzej Cwojdzinski, Państwowa Orkiestra Symfoniczna rozpoczęła ostatni kwartał sezonu artystycznego 1962/63. Tradycyjnym już zwyczajem postaramy się pokrótce wprowadzić melomanów w tematykę tych koncertów, przedstawić solistów i dyrygentów.

Kolejny koncert odbędzie się 26 bm. Wypełni go program Państwowej Filharmonii z Lublina. Zespół przedstawił się rzeszowskiej publiczności w ubiegłym roku, grając głównie utwory Karola Szymanowskiego. Jak widzimy, współpraca zespołów muzycznych z sąsiednich województw w myśl czwórporozumienia jest kontynuowana.

Natomiast od 18 bm. do końca miesiąca zespół Państwowej Orkiestry Symfonicznej powtarzać będzie w różnych miejscowościach naszego województwa koncert muzyki operowej i baletowej, który w Rzeszowie został wykonany 22 marca pod batutą Tadeusza Chachaja. Solistami będą jak w czasie premierowego koncertu: Alina Lewandowska — sopran i Zdzisław Nikodem — tenor.

Na dzień 10 maja br. POS przygotowuje ogromną niespodziankę. Jest nią estradowe wykonanie — pochodzącej z XVII wieku opery „Eneasz i Dydona”, kompozytora Henryka Purcella, uważanego za twórcę angielskiej muzyki narodowej. Purcell wyznaczył chórom dominującą rolę w operze, a do arii wprowadza pierwiastki muzyki ludowej. Natomiast recitativa podpięta bogatym akompaniamentem orkiestry.

W estradowym wykonaniu wraz z orkiestrą i chórem wezmą udział: soliści: Zofia Janukowicz i Jadwiga Dzikówna — soprany, Irena Winiarska — alt i Jerzy Sergiusz Adamczewski baryton. „Eneasz i Dydona” przygotował kierownik artystyczny POS, Janusz Ambros. Pod jego też batutą usłyszymy operę „Sprzedanie Narzeczony” — Smetany. Usłyszymy również m. in. „Smutny walc” — Sibeliusa i Suite taneczna — Czembeldi.

26 maja będziemy gościć meksykańskiego wiolonczeliste, A. Odno-possoffa, który wystąpi z recitalem.

Wspomnieć należy jeszcze o dwóch koncertach czerwcowych. Na dziewiątego Tadeusz Chachaj przygotowuje koncert, w którym jako solistka wystąpi Bułgarka, sopran E. Stojanowa i wykona arie operowe. Koncert odtworzy muzyka baletowa ze „Sprzedanej Narzeczony” — Smetany. Usłyszymy również m. in. „Smutny walc” — Sibeliusa i Suite taneczna — Czembeldi.

Sezon muzyczny zamknie koncert w dniu 21 VI br. W programie: „Colas Breugnon” Tadeusza Bairda, „Hamlet” — Franciszka Liszta i koncert fortepianowy b-moll — Piotra Czajkowskiego, który odegra Lidia Grychtolówna. Dyrygować będzie J. Kulaszewicz.

Informacja nie byłaby pełna, gdybyśmy nie zaanonsowali Dni Muzyki Kameralnej w Łańcucie. Koncerty będą się odbywały w dniach od 1 do 6 czerwca. Ale to już jest wielka ogólnopolska impreza, więc o jej przebiegu — zapowiadającym się niezmiernie interesująco — w odpowiednim czasie.

M. G.

METAFORY MALARSKIE

„W twórczości tej napotykamy jałę okazjonalność, jakiś podtekst, czasem łatwo dostępny, choć w obrazie pozostaje coś więcej, coś do odczytania, czego z całą pewnością do końca nie odczytamy nigdy”. — Ryszard Stanisławski (Wstęp do Katalogu „Metafory”).

W ubiegłym roku mieliśmy możliwość oglądania, na wystawach, różne kierunki malarstwa współczesnego włącznie z abstrakcją i surrealizmem (wystawa A. i Z. Kudów). Obecnie eksponowane w foyer Teatru im. W. Sienkowskiej w Rzeszowie prace Ewy Kierskiej — Hoffmannowej reprezentują formalnie kierunek realizm, a nawet okres jego najpełniejszego rozkwitu, na co szczególnie wskazują obrazy malowane na progu lat pięćdziesiątych, takie jak: „Książki” czy „Martwa natura” z chlebem”. Jednak w twórczości tej malarki warsztat i „język”, jakim artystka chce komunikować się z widzem, staje się drugorzędny wobec nasycenia każdego obrazu treścią, którą się chce opowiadać i przeżywać. Mamy więc do czynienia z malarstwem, które można chyba nazwać literackim, poetyckim, bo tak jak w poezji decydują o wyrazie twórczym: temat, metafora i nastrój. Temat wyrażony formą realistyczną, metafora przedziwnym często zestawem fragmentów rzeczywistości, nastrój przede wszystkim kolorem.

Długo ogląda się portret przedstawiający malarkę z pędzlem w ręce, siedzącą obok białej płaszczyzny płótna przygotowanego do malowania. Twarz „walna w wieńcu włosów o oczach jak z „fajumskich” portretów). Jest coś przykuwającego w tej poważnej twarzy i patrzących prosto oczach. Jak gdyby w ich głębi ukryły się tajemnice wszystkich kompozycji i smutnych obrazów: rozbitny wazon z polamanymi gałązkami, czaszka i maska — symbole przemijania. To znowu nieśczęsny Ikar powalony na ziemię, albo potężny i niepokonany Samson podstępnie uspiomy, przedstawiony w momencie utraty swej siły. — Tematy tak często powtarzające się zarówno w malarstwie, jak i rysunku sugerują nastawienie psychiczne malarki, jej umiłowanie do mitów i legend, oczywiste obok poszukiwania coraz doskonalszego układu kompozycyjnego i uproszczenia formy.

We wszystkich pracach jest jakaś powaga, a nawet smutek. Jest jeden obraz, na którym przedstawione jest dziecko siedzące na łóżeczku

smutne i samotne, oddzielone jakby od własnego domu sznurami białej bielizny. Nawet bawiące się w „ciuciubabkę” dzieci nie są wesołe i rozrywane, a ich krąg złożony z postaci dziewcząt urasta do symbolu.

Powiązanie realnych przedmiotów takich jak meble, urządzenie konkretnego wnętrza z konkretną chociaż dekoracyjnie potraktowaną pościelą w zestawieniu z wyobrażeniami skalami, wśród których zabiłkami ludzie wyglądają jak tragiczni przybysze na wymarłą, niegospodnią planetę — narzuca nastrój samotności i zimnej pustki.

Czasem zaskakujące połączenie kolorów jak w „Poszukiwaniu harmonii” czy w „Dobro i zło” pozornie wytrąca ze spokoju i równowagi. W momencie tym wiąże się przypomnieniem współczesności o jakimś sposobie bezduszny i drastyczny:

bezbronna, naga postać ludzka z e-tykieta nowoczesności zawieszona na pustym, zielonawym tle, podtrzymywana jedynie przez siedzącą postać kobiecą.

Do rzadkości należą radosne obrazy, jak: „Wiosna” z symboliczną postacią kobiecą zawieszoną wśród drzew, z dziećmi zbierającymi w lesie pierwsze wiosenne kwiaty.

Ewa Kierska — Hoffmannowa należy do kręgu malarzy, w których twórczości nadrzędną rolę w przekazywaniu treści spełnia niewymierna wyobraźnia ujeta rygorystycznie w karby dyscypliny warsztatu malarskiego.

TERESA ŻURAWSKA

1) Portrety z Fayum należą do najcenniejszych zabytków malarstwa egipskiego. Pochodzą z pierwszych wieków naszej ery.

brak pracy, to można ją przecież uzyskać w innych, na absolwentki zaś szkół odzieżowych i gospodarczych czeka handel detaliczny. Problemy szkolnictwa zawodowego były już kilkakrotnie rozpatrywane na wielu konferencjach z przedstawicielami resortów gospodarczych. Kuratorium przedstawiło je również na walnym zgromadzeniu SIMP, którego władze zadeklarowały daleko idącą pomoc w szkoleniu kadr dla przemysłu. Potrzebne są jednak odważne decyzje, podjęte jak najszybciej.

Wiele szkół już od dawna cieszy się dużym powodzeniem; są to przede wszystkim technika, elektryczne, mechaniczne, drogowe, geodezyjne oraz licea pedagogiczne. Nastąpiło zwężenie proporcji między liczbą uczniów w średnich i zasadniczych szkołach zawodowych. A potrzebni są przecież nie tylko technicy, ale i robotnicy wykwalifikowani. W bieżącym roku do techników przyjętych będzie blisko 5 tys. uczniów, do zasadniczych szkół zawodowych — 8.400, liceów ogólnokształcących — 5.200, a do szkół przysposobienia rolniczego — 4.750. Zajęcia w tych ostatnich rozpoczynają się dopiero w jesieni; młodzież, która podejmuje w nich naukę ubiega się zwykle o przyjęcie do innych szkół, co zwiększa w nich tłok podczas egzaminów wstępnych. Konieczna jest więc właściwa popularyzacja SPR-ów, które mają przecież dużą perspektywę.

Kuratorium zamierza dla ich absolwentów uruchomić 3-letnie technika rolnicze o specjalnościach: budownictwo wiejskie, obrót wiejski oraz administracja terenowa.

Mimo zwiększonego naboru, w bieżącym roku ponad 5 tys. absolwentów szkół podstawowych nie będzie mogło kontynuować nauki, co wraz z kilkoma tysiącami z lat ubiegłych czyni poważną rzeszę „wolnych” nastolatków. W jakimś stopniu problem ten może być rozwiązany dalszą rozbudową SPR-ów oraz przyzakładowych i międzyzakładowych szkół zawodowych dla pracujących. Wydaje się również konieczne zrezygnowanie ze zbyt rygorystycznego przestrzegania limitu 40 uczniów w pierwszych klasach szkół średnich. Niewątpliwie większa ich liczba utrudnia pracę dydaktyczno-wychowawczą, ale tych kilkanaście tysięcy ubiegających się o przyjęcie do szkół jest problemem niezwykle ważnym.

Reasumując powyższe trzeba podkreślić, że siódmoklasiści każdej szkoły podstawowej muszą być wyczerpująco informowani o możliwościach dalszego kształcenia. Rozwój gospodarki narodowej wymaga dokonania korekt w obecnym profilu szkolnictwa zawodowego. Problem zaś młodzieży „wolnej” (nie uczącej się i nie pracującej) jest w dalszym ciągu otwarty.

ZDZISŁAW KO...



Ewa Kierska - Hoffmannowa

— Autoportret.

na wprost

ALIBI

Niedawno jeden ze znajomych uniósł się w czasie niewinnej dyskusji na temat artystyczne i ostym, podniesionym tonem zażądał szacunku dla siebie, mimo iż nikt nie miał zamiaru go urazić. — Należy mu to wybaczyć — skomentowano później pobłażliwie incydent — ma tyle kompleksów i urazów psychicznych, że z trudem je może udźwignąć. Ot, i okoliczność łagodząca, ot, i całkowite rozgrzeszenie z niekulturalnego wystąpienia. Gdybyż to był sporadyczny wypadek. Okazuje się, że wiekańska szkoła psychologiczna trafiała omal, że pod strzechy, a kompleksy stały się kluczem do odszyfrowania wszystkich zakamarków, i wstydlivych miejsc w psychice przeciętnego inteligenta. Można je liczyć na tuziny; kompleks na tle trudnego dzieciństwa, na tle mało wartościowości, na tle choroby, niedoskonałości fizycznej, kompleks winy itd. W większości wypadków pełnią one funkcję legitymacji określającej przynależność osobnika do elity wrażliwców o „bogatym życiu wewnętrznym”. Kompleksy ceni się na wagę złota. Gdy ktoś nie umie współżyć z otoczeniem, wywołuje liczne konflikty, zachowuje się jak księżniczka na ziarnkach grochu lub jest po prostu źle wychowany, uzyskuje z miejsca żelazne alibi osobnika zakompleksionego. Wtedy wszyscy mu współczują, a on chodzi w głorii.

Wiara w kompleksy zatacza kręgi szerokie. Napisałeś obsesyjną i niesmaczną książkę — krytyk Ci wszystko wybaczy, a nawet oceni ją szczególnie wysoko pod warunkiem, że dojrzał w Tobie urazy psychiczne.

Kompleksy ceni się w malarstwie, muzyce i filmie, szczególnie w polskim filmie. Chyba z filmu upowszechniła się moda na niewydarzonych facetów nie umiejących żyć w swoich środowiskach.

I rzecz szczególna — o ile kiedyś można było wyleczyć się z kompleksów przez uświadomienie sobie ich istnienia i ich źródła — to obecnie ta terapia odnosi wręcz odwrotne skutki. Wszyscy na nie chuchają, pielęgnują je troskliwie, aby

się tylko nie poprzeczli. Decydują o tym, jak już wspominałem, względy praktyczne i snobistyczne. Stanowią doskonałe alibi w razie pogwałcenia norm współżycia społecznego i stwarzają pozory przepastnej głębi życia wewnętrznego u osobnika.

Ludzie rumiani, pogodni i dobroduszy nie mają szans. Co za prymityw — słyszy się czasem w rozmowie — ten na pewno nie ma kłopotów ze swoim stosunkiem do świata. Może nadejść czas, że takim zabroni się wstępu do kawiarni czy zamknie się przed nimi drzwi szanujących się domów. Chyba, że ci prymitywni się skrzykną i uzyskają od władz wprowadzenie zakazu obnoszenia się z kompleksami w miejscach publicznych. Niech się cieszą nimi w czterech ścianach domu. Życie jest dostatecznie skomplikowane, by bez walki znieść deptanie nam po odciskach przez kompleksiarzy tylko dlatego, że mieli trudne dzieciństwo.

Jotgiel

Jaskółka
Dni Muzyki Kameralnej

Jeszcze dwa miesiące do III Dni Muzyki Kameralnej, a już pojawiła się pierwsza zapowiedź. Jest nią kartka pocztowa wydana przez organizatora Dni — Państwową Orkiestrę Symfoniczną w Rzeszowie. Pocztówkę zdobi widok zamku łańcuckiego i okolicznościowy napis. Również znaczek jest tematycznie związany z imprezą. Przedstawia klawiaturę fortepianu w świetle jednego ze znanych kryształowych kandelabrow sali balowej, w której odbywają się koncerty. Całość jest utrzymana w kolorach: białym, pastelowo-lila, brązowym i czerwonym. Udaną kartkę pocztową, która ukazała się w nakładzie 25 tys. sztuk projektował St. Małecki. Obecnie pocztówki można nabyć w placówkach „Ruchu”.

Dopiero jednak w czasie trwania Dni przybędzie prawdziwa gratka

dla filatelistów. Będzie nią okolicznościowy stempel. Jak nas informowano, pocztówką i stemplem zainteresował się Rzeszowski Oddział Związku Filatelistów, który w Dniach Muzyki Kameralnej będzie prowadził w zamku własne stoisko.

Głównym zarzutem pod adresem organizatorów dotychczasowych Dni jaki podnosili nieomal wszyscy sprawozdawcy muzyczni i melomani był brak informacji, a nawet właściwej reklamy imprezy, która w odpowiednim czasie zapewniała by dobrą frekwencję. Okazało się, że kameralna muzyka nie zawsze kameralnie musi być zapowiadana.

Pierwsza jaskółka anonsująca Dni Muzyki Kameralnej już wyruszyła. Wkrótce przybędą dalsze...

(mg)



Bronisław Lisowski — kierownik kina „Zorza” w Rzeszowie — rys J. Sienkiewicz

WIDNOKRĄG
odpowiada

J. T. Rzeszów: Wiersz się nie udał. Jest nieporadny i naiwnie sentymentalny. Zaszuszone kwiat (koniecznie w encyklopedii), bukiet róż i grób, to bardzo ograne akcesoria miłosnego wspomnienia. Nie skorzystamy również z opowiadania. Przede wszystkim dlatego, że otrzymaliśmy je w bardzo chaotycznych fragmentach. Zresztą Panu chodziło raczej o ocenę niż o publikowanie. Sądymy, że opowiadanie nie ma znamion prozy artystycznej. Jest to zresztą skonstruowana fabułka sensacyjna dość prymitywna językowo i stylistycznie. No, i absolutnie pozbawiona cech prawdopodobieństwa. Może inny byłby nasz sąd, gdybyśmy otrzymali je w całości i w formie ostatecznie dosłownej.

„Max z Jarosławia”: Zachęcamy do dalszej pracy i wielkiej cierpliwości. Ostatnio przysłane wiersze są lepsze, dojrzałe od poprzednich. Na ogół jednak brak Panu odpowiedzialności za użycie słów i metafor, i autentyczności przeżycia. Wiersze są zbyt literackie. Proszę próbować wypowiedziania się również w klasycznej formie wiersza. To zmusza do dyscypliny. Ale nie tak jak w wierszach „Lisole” i „Deszcz”.

J. R. Rzeszów: Pana miniatury miłosne są na ogół miłe i proste, ale mało odkrywcze w treści. Brakuje im kondensacji emocjonalnej i siły uogólnienia poetyckiego. Na razie są to kulturalne wierszyki do sztambucha. Zachęcamy do dalszych kontaktów z nami.

Monika z Przeworska: Prosimy o bliższe informacje na temat swej osoby i wierszy. Chodzi nam o to, w jakim stopniu te utwory są odbiciem rzeczywistych uczuć i zainteresowań autorki. Wtedy możemy udzielić porady.

Zdarzenia
TYCODNIA

Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych w Rzeszowie wspólnie z Oddziałem Wojewódzkim Związku Teatrów Amatorskich zwróciła się do działaczy kulturalnych i artystycznych zespołów związkowych z apelem o objęcie patronatu i otoczenie opieką większych zespołów amatorskich, działających w spółdzielniach produkcyjnych i państwowych gospodarstwach rolnych. Pomoc powinna przyczynić się do uaktywnienia zespołów i rozszerzenia pracy kulturalno-oświatowej w środowiskach wiejskich, do ich jak najbardziej masowego udziału w Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Amatorskich. Apel podjęły już niektóre zespoły. I tak „Metalowiec” z Rzeszowa nawiązał kontakt z grupą artystyczną w Niechobrze, zespół Związku Nauczycielstwa Polskiego z Przemysła — nad Leszczawą, amatorzy PZGS z Jasła będą współpracowali z kolegami z Kamienicy Dolnej, a zespół ZEK-Jasło z kołami artystycznym we Wrocance.

3 kwietnia w krakowskim Pałacu Sztuki otwarto Ogólnopolską Wystawę Plastyki Amatorskiej, na której znalazły się również prace amatorów-plastyków z województwa rzeszowskiego. Z tej okazji zorganizowano również trzydniowe sympozjum, poświęcone problemom amatorskiego ruchu plastycznego. W obradach biera udział wybitny znawca przedmiotu: krytycy i historycy sztuki, artyści plastycy, pedagodzy, psychologowie, socjologowie, psychiatrzy oraz działacze k. o. Imprezę przygotowało Ministerstwo Kultury i Sztuki i Centralna Poradnia Amatorskiego Ruchu Artystycznego.

Po ciekawej i imponującej „Księdze Bieckiej” ukazało się obecnie nowe wydawnictwo Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Rzeszowie: kolejny (IV) zeszty „Rocznik Województwa Rzeszowskiego”. Rocznik zawiera 18 prac różnych autorów na temat wielu zagadnień związanych z rozwojem Rzeszowszczyzny w ciągu 15 lat od chwili jej wyzwolenia, główne zagadnienia nauki, oświaty i kultury.

Dowiedziemy się również, że w druku znajduje się już następne wydanie tego periodyku obejmujące lata 1960—1961.

W dniach 6 i 7 bm. odbywa się w Przemysku przedział zespołów narodowościowych Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego. W przedziale zorganizowanym w ramach Wielkiego Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Amatorskich zgłoszono udział 7 zespołów, m. in. z Hrebennego (woj. lubelskie), Komarńczy, Turzańską, Bielanki, Kalinkowa i Przemysła. Grupy artystyczne przedstawiają składanki regionalne, operę M. Łysenki i sztuki teatralne.

Z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru mieszkańcy wielu miast i wsi naszego województwa spotkali się w swoich świetlicach i domach kultury z przedstawicielami Teatru im. Wandy Sieroszewskiej w Rzeszowie. Podczas spotkania wymieniono wiele ciekawych poglądów na temat związane z działalnością teatru i pracą aktora, społeczeństwo zaś miało możliwość bliższego zapoznania się z interesującymi go zagadnieniami życia teatralnego.

Imprezy takie miały m. in. miejsce w Rzeszowie, Stalowej Woli, Górnicy, Jasle, Deblicy, Głogowie, Zalesiu i Trzcielnie.

11 września 1944, kiedy oddziały I. brygady korpusu czechosłowackiego, działające na głównym kierunku uderzenia armii, pokonały leśną przestrzeń między wsiami Pałacówką a Helenówką i rozpoczęły zaciekle walki o wzgórze 534, bitwa o Duklę wkroczyła w decydującą fazę. Na lewym skrzydle 38. armii, wsparta czołgami piechota 140. dywizji radzieckiej po całonocnej walce zdobyła wreszcie Krosno. Centrum nacierających wojsk znajdowało się już pod Duklą, na prawym zaś skrzydle jednostki radzieckie sąsiadujące z I. brygadą czechosłowacką utworzyły w niemieckiej obronie na odcinku Łysa Góra — Głojsee 2-kilometrową wyrwę.

W wyrwę tę generał Moskalkenko wprowadził korpus kawalerii gwardii gen. Baranowa, który trudno dostępnymi górnymi ścieżkami wyszedł na tyły Niemców w rejon Krempna — Polany i zaopatrzony drogą lotniczą walczył tam przez dłuższy okres.

Niemcy nie chcieli dopuścić do swobodnego przerwania drogi Dukla — Żmigród Nowy i rzucili tu do walki nowe siły pancerne. Raz po raz ruszały wzdłuż szosy „Tygrysy” i „Ferdynandy” do rozpaczliwych kontrataków. Wkrótce 3 niemieckie dywizje pancerne z dwu stron: z rejonu Łysej Góry i od Iwli atakowały tu wojska 38. armii. Artylerzyści radzieccy, piechota 101. korpusu i czołgiści 25. korpusu pancernego dokonywali cudów waleczności. Po trzech dniach walk w rejonie Iwli — Głojsee korpus ten miał już tylko 27 maszyn, a mimo to z powodzeniem odpiął jeszcze uderzenia niemieckie.

Uporczywe starcia trwały całymi dniami i nocami i nie straciły zacieklej także po przeniesieniu się kilka kilometrów na południe. Oddziały pancerne walczyły z sobą w minimalnej odległości. Czołg szedł na czołg ciągle strzelając, a po zużyciu amunicji uderzał taranem i tak, w bezpośrednim zderzeniu, niszczył przeciwnika. Okoliczne wsie zburzone zostały doszczętnie w og-

Bitwa o Przełęcz Dukleńską (V)

„Dolina śmierci” i wzgórze 534

niu bojów, a cały ten teren miejscowa ludność nazwała „doliną śmierci”. Jeszcze do niedawna stały tam wypalone, porzewiałe kikuty bojowych maszyn i wiele trzeba było saperckiego wysiłku, by usunąć je i rozminować całą przestrzeń.

Tymczasem piechota czechosłowacka krwią serdeczną pisała jedną z najpiękniejszych kart swojej historii, walcząc o wzgórze 534, które obecnie zna z podręczników szkolnych każde dziecko czeskie czy słowackie. Wzgórze to, panujące nad dużym odcinkiem szosy Dukla — Żmigród Nowy stwarzało bardzo dogodny warunki dla tego, kto się na nim znajdował, toteż hitlerowcy nie mogli się pogodzić z jego stratą. Z drugiej strony wojska czechosłowackie po opanowaniu wzgórza mogły z powodzeniem nacierać na Iwle i Teodorówkę, rozszerzając lub zabezpieczając w ten sposób wyłom zrobiony przez radzieckich sąsiadów. Stąd właśnie zaciekleść

obu stron i uporczywość trwających kilka dni zmagani.

10 września wzgórze 534 zajęte zostało przez żołnierzy I. brygady, którzy oskrzydliłi je od strony południowo-zachodniej nacierając na odcinku Helenówka — Teodorówka. Następnie obsadzili je oddział radziecki, który jednak następnego dnia zniszczony został przez silny kontratak Niemców. Hitlerowcy

przeniknęli na północne stoki wzgórza, zagrażając tyłom 2. batalionu czechosłowackiego. Tu jednak zostali zatrzymani, a wkrótce natarcie I. brygady odrzuciło ich na południe. Wzgórze znów było w rękach czechosłowackich.

Zażarte walki o nie rozgorzały 12 września. Wczesnym rankiem Niemcy idą do przodu przy silnym wsparciu artylerii oraz czołgów i wreszcie zajmują szczyt wzgórza. Przeciwdzierzenie czechosłowackie po kilku godzinach wyrzuca ich stamtąd, ale około godz. 13 hitlerowcy znów są na szczycie. I znów natarcie I. brygady zakończone powodzeniem.

Zdobyte wzgórze staje się sprawą każdego żołnierza i dowódcy. Szczególnym uporem i zaciętością odznaczają się tu żołnierze bohatera Związku Radzieckiego, por. Sochora, którzy ostatecznie zajmą i utrzymają wzgórze 534, wieczorem tegoż dnia. Ich dowódca jeszcze w Buzuluku znany był „z twardej re-

ki”, na ćwiczeniach nie przepuścił żadnego niedbalstwa, potrafił wielokrotnie powtarzać jedną czynność dopóki każdy żołnierz „nie opanował jej należycie. Teraz właśnie przyda się ta „szkoła”, na którą wielu wówczas się krzywiło. Śmiało i umiejętnie idą żołnierze za swoim dowódcą, niespodziewanie atakują wroga i wyrzucają go w dolinę.

Jednym z bohaterów walk o wzgórze 534 jest por. Bilej, dowódca kompanii fizylierów z 2. batalionu. Kiedy po południu nowy kontratak niemiecki jest już pod szczytem, Bilej ma tylko 7 żołnierzy i resztkę amunicji. Zdaje się, że to koniec.

Nagle, cóż to? Wśród nacierających Niemców gęste wybuchy pocisków. To masza artyleria kładzie zapórę ogniową. Bilej nie zwleka ani chwili. Gdy działa przestają strzelać, wyskakuje z pustym automatem naprzód i krzyczy: hurra! To samo robi siódemka jego żołnierzy. I oto Niemcy, nie patrząc nawet ilu przeciwników ich atakuje, uciekają do tyłu w przekonaniu, że mają do czynienia z większą siłą. Niestety, bohaterski porucznik zginie w dwa tygodnie później, już na ojczyźnie.

Podporucznik Hławacz z baterii moździerzy z kilkoma podwładnymi, opuszczony przez własną piechotę, ogniem z dział i automatów

odpiera kolejny szturm hitlerowców. Ranny podporucznik E. Sziemer mimo zakazu lekarza wraca na pole walki, uczestniczy w natarciu, kładzie trupem trzech hitlerowców i bierze do niewoli oficera. Dopiero następna rana wyrwa go z szeregów.

Fizylierzy Sochora i Bileja, żołnierze ppor. S. Petrasa, cekaemiści por. Opatnego: Prikiyl, Sitar, Dostal, Tomek Pekarek, Bata, Lecheń, Pila — oto bohaterowie wzgórza 534. Wielu z nich poległo, walcząc do ostatniego naboju, tak jak dowódca drużyny fizylierów Nedredsky, który wolał śmierć od niewoli, dowódca plutonu Bihar padł w walce o Teodorówkę, żołnierze Zitzko i Rousar polegli u stoków wzgórza.

Sam dowódca korpusu gen. Swoboda znajdował się wśród walczących oddziałów pod bezpośrednim ostrzałem nieprzyjaciela. Dopiero na wyraźne żądanie dowodzącego frontem marszałka Koniewa, który zakazał mu „być fizylierem” wrócił na swoje stanowisko dowodzenia.

Taka sytuacja trwała kilka dni. Wzgórze przechodziło z rąk do rąk, osuwał dymem, zryte pociskami artylerii i bombami lotniczymi. Często na szczycie nie było nikogo, tak silny był ogień dział, katiusz, moździerzy, czy naloży lotnicze. Za każdy metr ziemi płacono krwią, a żołnierze czechosłowaccy i radzieccy walcząc ramię przy ramieniu pieczętowali nią swoje braterstwo broni.

Mimo zażartych szturmów Niemcom nie udało się zawładnąć wzgórzem. Po tygodniu z górą walk, pozostawało ono w rękach I. brygady, która niebawem miała znów pójść naprzód, krok po kroku zbliżając się do granic ojczyzny.

WITOLD SZYMCIK